

Informator Krajoznawczy

Nr 02/126 (luty) 2020



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza**

Wprowadzenie



W lutowym Informatorze Krajoznawczym zamieszczam tylko dwie relacje, według mnie wyjątkowe.

Pierwsza z nich to tekst wygłoszonej przeze mnie gawędy krajoznawczej w Jagniątkowie podczas nocy muzeów, druga to niejako zachęta do wybrania się w podróż do Afryki południowej. Przedstawiam najciekawsze miejsca jakie odwiedziłem w lutym 2020 roku podczas mojej podróży przez Republikę

Południowej Afryki, królestwo Swaziland, Botswanę i Zambezi. Odwiedziłem m. in.: Kapsztad z Górą Stołową i Przylądkiem Dobrej Nadziei, Johannesburg, Pretorię, Durban, Park Krugera i Wodospad Wiktorii.

Życzę miłej lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

- Str. 1 Wprowadzenie
- Str. 3 Gawęda górską – zmiany w krajobrazie górskim
- Str. 10 Afryka południowa

Krzysztof Tęcza

Gawęda górska – zmiany w krajobrazie górskim

Jak łatwo zgadnąć zmiany w krajobrazie górskim przebiegają tak jak wszędzie. Zachodzą one w sposób ciągły, a wywoływane są poczynaniami człowieka, przyrody czy warunków meteorologicznych. Te, za które odpowiada człowiek są wywoływane w sposób świadomy lub nieświadomy, wywoływane celowo lub nie.

Ci, którzy z was wędrują po górach od wielu lat, widzą owe zmiany codziennie. Niestety większość z nich przyjmowanych jest jako coś normalnego, coś co i tak musi się wydarzyć. Chociaż niektóre z nich zaskakują zarówno swoim rozmiarem jak i szybkością z jaką przebiegają. Bo np. klęska ekologiczna sprzed kilkadziesiąt lat. Niby wywołał ją człowiek, ale nie do końca. Bo przecież pierwsze objawy obumierania drzew w naszych górach zostały wywołane poczynaniami właśnie człowieka. Ale kolejne, coraz to poważniejsze zniszczenia, były już konsekwencją słabości lasów oraz mnogością owadów, które korzystając ze sprzyjających warunków mnożyły się coraz szybciej.



W górach zachodzą zmiany, powiedzielibyśmy technologiczne. Bo obecne ubrania czy obecnie używany sprzęt turystyczny w porównaniu z tym sprzed lat dwudziestu czy trzydziestu różnią się niesamowicie. Oczywiście sprzęt ten czy odzież są dla nas turystów coraz bardziej przyjazne ale czy to samo można powiedzieć o ich oddziaływaniu na przyrodę?

Góry zmieniają się poprzez działania celowe podejmowane nawet na obszarach chronionych. Dotyczy to budowy nowych szlaków turystycznych i dróg oraz budowli, choćby schronisk.

Jednak to co chciałbym przedstawić to zmiany w naszej mentalności, zmiany w naszym charakterze, zmiany w naszym zachowaniu czy w końcu zmiany w postrzeganiu przez nas gór. Bo obecnie, ze względu na masowość turystyki, ludzie wyruszający w góry zachowują się zupełnie inaczej niż kilkadziesiąt lat temu. I nie mówię tutaj o choćby zwykłym dobrym słowu, jakim obdarzało się do niedawna, spotkanego na szlaku turystę. Nie mówię tutaj o normalnym powitaniu na szlaku, które kiedyś było normą, a dzisiaj często traktuje się jak jakiś nietakt. Nie, nie mówię tutaj o takich drobiazgach.

Chciałbym pokazać jak nasze przeżycia czy wydarzenia jakie spotkały nas w górach zmieniły nasze dotychczasowe życie. Tak, bo właśnie takie zmiany, możemy umownie nazwać je duchowymi, często ważą na naszych poczynaniach w przyszłości.

Jako przykład, no może zbyt „drastyczny” podam tutaj zdarzenie jakie przydarzyło mi się lat temu..., no nie będę aż tak daleko sięgał wstecz. Chodzi o czasy kiedy wchodząc w życie jako nastolatek, wyruszałem na swoje pierwsze górskie wędrowki. Oczywiście jako młody zdrowy chłopak za nic miałem wszelkie zasady poruszania się po górach. Nic zatem dziwnego, że bardzo często wyruszałem w góry o niewłaściwych porach. Często wychodziłem z domu gdy było już ciemno licząc, że złapię jeszcze ostatni autobus jadący do jakiejś podgórskiej miejscowości. Często zatem docierając do podnóża gór czyniłem to o porze, w której powinno kłaść się spać. I często czyniłem to samotnie. Nie będę oczywiście przytaczał tu drobnych spraw jakie mi się przydarzały podczas takich wędrowek.

Na początek powiem o jednej sprawie, która zaważyła na całym moim późniejszym życiu. Otóż któregoś razu postanowiłem wybrać się w Góry Izerskie. Zabrałem z sobą dziewczynę, równie młodą jak ja, i równie lekko traktującą, wydawałoby się ograniczające nas zasady poruszania się po górach. Gdy dotarliśmy w góry było już dobrze po północy. Nie było zatem sensu wracać do domu. Szliśmy zatem wciąż przed siebie mając nadzieję, że uda nam się w miarę szybko dotrzeć do jednej z chatek. Mówię tutaj o nieistniejącej już Chatce Walońskiej. W sumie pogoda była niezła. Księżyc pięknie oświetlał teren, no może nie do końca. Co jakiś czas zasłaniały go ciemne chmury i wtedy nie było widać nic. Idąc tak za dziewczyną, w momencie gdy znowu zapanowała ciemność usłyszałem przede mną jakiś plusk. Odruchowo wyciągnąłem przed siebie rękę i, jak się za chwilę okazało, w ostatniej chwili chwyciłem za kurtkę właśnie wpadającej do głębokiego dołu borowinowego idącą przodem dziewczynę. Gdy księżyc ponownie oświetlił teren oboje już wiedzieliśmy, iż ten automatyczny ruch mojej ręki dosłownie ocalił życie mojej partnerki. Gdyby nie to byłoby po niej.

Pomyślcie sobie, no dobra, i co z tego. No właśnie! Jak się wkrótce okazało ów czyn miał bardzo poważne konsekwencje dla mojego dalszego życia. I nie tylko. Miał bardzo poważne konsekwencje dla życia mojego i owej dziewczyny. Wkrótce

bowiem pobraliśmy się i jesteśmy z sobą do dnia dzisiejszego. Ale czy stałoby się tak gdyby nie wspólne wędrowanie po górach. Pomyślcie sami.



Oczywiście wiem, i już o tym wspomniałem, jest to przykład dość drastyczny. Nie zawsze czyny takie przekładają się na tak poważne zmiany w życiu. Ja takich wydarzeń miałem jeszcze kilka.

Podam inny przykład. Otóż któregoś razu umówiłem się ze znajomymi na górską wycieczkę, której celem miała być, również już nieistniejąca Chata Morgana. Działo się to dokładnie 10 maja, roku specjalnie nie będę podawał gdyż akurat to nie ma specjalnego znaczenia. 10 maja, jak wiecie zdaje się egzaminy maturalne. I ja również wtedy musiałem to uczynić. Oczywiście będąc umówionym, by nie zawieść nikogo, szybko napisałem wszystkie zadania. Niestety, jak to mówią, nauczyciele nie zawsze dzielają zapał uczniów i gdy oddawałem swoją pracę została ona przyjęta jednak mnie kazano posiedzieć w ławce jeszcze 3 godziny. Nawet nie wiecie jak w takiej sytuacji czas się dłużył. W końcu jednak zostałem zwolniony i wyruszyłem ostatnim autobusem do Karpacza. Przed wyruszeniem w góry dokonaliśmy podziału prowiantu. Ja niosłem paliwo do kochera, tort i jakieś drożdżki. Pozostali mieli przynieść resztę ekwipunku. Oczywiście taki podział okazał się zupełnie nietrafiony. Dlaczego zaraz wyjaśnię. Gdy wysiadłem w Karpaczu, pamiętacie, że mamy 10 maja, z nieba zaczął sypać śnieg. Ale jaki był to śnieg. Płatki z minuty na minutę były coraz większe. Powrót nie wchodził w grę gdyż raz dane słowo w górach było ważniejsze od życia. Przynajmniej dla mnie. Dlatego też, by zaoszczędzić sobie drogi, zszedłem ze szlaku turystycznego i ruszyłem pod górę prościutko w stronę chatki. Szybko okazał się to błędem. Śnieg sypał tak mocno, że wkrótce sięgał mi po pas. Do tego dotarłem do kosówki. Dopiero wtedy okazało się jak trudno się po niej poruszać. W końcu jednak dotarłem w umówione miejsce. Była chyba 2 w nocy.

Śnieg wreszcie przestał sypać. Przeżyłem wtedy dziwne zjawisko. Gdy stojąc na grani patrzyłem w czerni doliny przede mną nagle pojawiły się chmury robiące wrażenie falujących fal. Ja byłem nad nimi. Niestety tak ciekawe zjawisko nie poprawiło mi humoru gdy dotarło do mnie, że jestem sam. Nie wiedząc co się mogło stać, wtedy nie było telefonów komórkowych, byłem zły, że wciągnąłem innych w wyjście w góry. Myślałem o najgorszym. Nie mogłem jednak w takich warunkach ruszyć na poszukiwania, gdyż sam mógłbym przyplącić to życiem. Chcąc zagrzać się uświadomiłem sobie, że samo paliwo jakie miałem w plecaku nic mi nie pomoże bez zapatek i maszynki. Było niesamowicie zimno. Ubrań nie miałem zbyt wielu. Aby nie zamrznąć włożyłem na stryszek i tam skuliłem się by przetrwać do ranka. Na drugi dzień podjąłem działania poszukiwawcze, byłem w swoim towarzystwie uważany za najbardziej doświadczonego. Przeleciałem do Puchatka gdzie dowiedziałem się, że owszem było tu kilka osób, z którymi byłem umówiony ale spędziły one noc przy ognisku. Kilka dni później jedna z nich wylądowała w szpitalu z zapaleniem płuc. Jak okazało się niebawem, pozostali widząc co się dzieje z pogodą, postanowili pójść do Smogorniaka. Dopiero tam uświadomili sobie jak nieroztropnie uczyli. Było już jednak za późno.

Jak więc widzicie zmiany planów czy niedotrzymywanie słowa może kosztować nawet życie. Zwłaszcza w górach.

Innego razu gdy nie zdążyłem na autobus ruszyłem sam mając nadzieję na dogonienie ekipy idącej do Smogorniaka, gdzie mieliśmy spędzić Noc Sylwestrową. I coś się okazało. Pogoda załamała się tak raptownie, że mimo posiadania nart nie dałem rady na czas dotrzeć do chatki. Gdy byłem przy strumyku wiatr wył już tak, że poza nim nie było słychać nic. Do tego silna nawałnica. Śnieg dosłownie w mgnieniu oka zasypywał każde zagłębienie w terenie. Wiedziałem już, że nie będzie łatwo. Nie przypuszczałem jednak, że będzie aż tak tragicznie.

Zsunąłem się do strumyka i chciałem podejść na zbocze, gdzie u góry w jedynym od tej strony okienku majaczyło jakiś światło. Niestety było tak ślisko, że każda próba podejścia kończyła się lądowaniem w strumieniu. Sytuacja robiła się coraz bardziej dramatyczna. Nie pomogły nawet drabinki zrobione ze związanych nart i kijków. Po kilku godzinach nierównej walki zacząłem zdawać sobie sprawę, że jeśli nie wydarzy się jakiś cud, nie przeżyję tej nocy. I właśnie wtedy wydarzył się cud. Jakiś chłopak wyszedł z chatki by zrobić siusiu. Nie chciało mu się jednak iść przez zawieruchę do wychodka. Poszedł zatem za chatkę i właśnie wtedy go zauważyłem. Zacząłem drzeć się jak opętany mając nadzieję przekrzyczeć wiatr. Gdy już myślałem, że nie dam rady zauważyłem jak ów chłopak zaczyna nasłuchiwać. W końcu chyba mnie dostrzegł bo pobiegł z powrotem. Wkrótce z chatki wylegli inni. Przynieśli z sobą liny i dzięki temu zaraz siedziałem przy piecu popijając ciepłą herbatkę. Ocalałem. To był prawdziwy cud.



Ale czasami są sytuacje zabawne, które w zasadzie nie zagrażają życiu człowieka. Kiedyś wracając ze Smogorniaka wziąłem ze sobą tzw. luzaków. Luzacy to osoby stojące na moich nartach. Może i jest to dla nich wygodne – nie zapadają się bowiem po kolana w śniegu. Nie jest to jednak wcale bezpieczne. Gdy tak zjeżdżaliśmy sobie na nartach we trójkę nagle szybkość zjazdu spowodowała, że zachwiałem się i tylko zobaczyłem jak jeden z luzaków przelatuje mi nad głową a drugi pomiędzy nogami. Oswobodzony od zbędnego obciążenia wyskoczyłem w powietrze by po kilkunastometrowym locie wylądować na śniegu. Niestety moje lądowanie wcale nie było takie lekkie. Okazało się, że moje narty wbiły się głęboko w śnieg a kijki trzymane w rękach również ugrzęzły w śniegu. Tymczasem moje ciało wisiało w powietrzu. Gdy zastanawiałem się jak się uwolnić z takiej pozycji pojawili się moi luzacy. W kocu nie wytrzymałem i rzuciłem pod ich adresem kilka słów mając nadzieję na przywołanie ich do porządku. Ci jednak niewiele sobie z tego robili. Po chwili już wiedziałem o co chodzi. Otóż pode mną płynął strumyk. Ponieważ długo nie mogłem wytrzymać w tak niewygodnej pozycji, wkrótce mój tyłek wylądował w lodowatej wodzie. Wtedy moi towarzysze pomogli mi się uwolnić. Oni mieli ubaw a ja mokrą d....

Bywały w górach także sytuacje dziwne i nieprzewidywalne. Np. kiedyś idąc zimową porą do chatki Walońskiej chwycił mnie atak wątroby. Tak wtedy osłabłem, że szybko zacząłem odstawać od innych. Siedziałem i jadłem śnieg. Gdy większość była już w chatce ze mną zostało dwóch kolegów. I wtedy jeden z nich chwycił kijka od nart i zaczął okładać mnie po plecach. Chcąc uniknąć kolejnych razów ruszyłem w stronę chatki. Tam po wypiciu ciepłej herbaty wszystko wróciło do normy. No i co teraz. Co zrobić z takim typem, który chciał mi wyrządzić krzywdę. Otóż nic. Podziękowałem mu za te razy, gdyż one uratowały mi życie. Dosłownie. Przecież sam ich tego uczyłem. Gdy nie pomaga nic trzeba użyć przemocy.



Ale dosyć o górach. przecież nie tylko tam się coś dzieje. Kiedyś zobaczyłem ogłoszenie o spływie kajakowym po Bobrze. Powiedziałem o tym znajomemu i oboje postanowiliśmy zgodnie, że zapiszemy się na ów spływ. Tak też zrobiliśmy. Trzeba jednak było zdobyć jakiś kajak. Na szczęście dowiedzieliśmy się o wypożyczalni i tam dostaliśmy kajak składany. Myśleliśmy, fajnie, łatwo go przewieziemy do Lwówka, gdzie był wyznaczony start. Tak też się stało. Jednak wkrótce miało się okazać, że same chęci nie wystarczą. Trzeba jeszcze trochę wiedzy. Otóż gdy napompowany kajak umieściliśmy w rzece, z radością wsiedliśmy do niego. Niestety kajak przełamał się i poszliśmy na dno. Okazało się, że nie wytrzyma on dwóch facetów po sto kilo każdy. Cóż było robić. Już myśleliśmy o wycofaniu się ze spływu gdy ktoś zaoferował wolny kajak. Kolega popłynął sam, ja nadmuchałem ten nieszczęsny kajak z wypożyczalni i jakoś przepłynęliśmy pierwszy dzień. Na mecie podszedł do nas jakiś mężczyzna i zaproponował nam kajak sztywny. Prawdziwą dwójczkę. Chętnie skorzystaliśmy z tej pomocy. Ruszyliśmy dalej. Jakież było nasze zdziwienie, że kajaki nie chcą same pływać. Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym trzeba było przenieść kajak przez próg, patrzyliśmy jak inni oddalają się od brzegu. Uczyniliśmy tak samo jak oni. No może nie tak dokładnie i zamiast tak jak oni przeskoczyć wartki prąd i znaleźć się na środku rzeki znaleźliśmy się w wodzie! Było tam naprawdę głęboko. Ja odbijając się od dna walnąłem głową w dno kajaka i poszedłem z powrotem na dno. Uczyniłem tak jeszcze raz. W końcu jakoś udało nam się postawić kajak na wodzie i znaleźliśmy się znowu na środku rzeki. Niestety okazało się, że tuż obok był dopływ kanału ściekowego. Śmierdzieliśmy jak skunksy. Do tego utopiłem okulary. Nie widząc daleko kierowałem siedzącego tyłem a wiosłującego kolegę nie tam gdzie trzeba. Jakoś udało nam się w końcu dotrzeć do mety. Tam kolega poszedł wybać co w trawie piszczy i opowiedział, że wszędzie jest pełno straganów z książkami ale gdy coś chciał kupić zawsze pozycja ta szybko się kończyła. Poszedłem i ja w te stragany.

Niestety bez okularów nie mogłem wypatrzyć małych literek tytułów. Kupiłem zatem pierwszą z brzegu książkę. Jak się później okazało były to fraszki Sztadyngera. Ale trafiłem. Najlepsze okazało się po kilku latach. Odwiedzając kuzyna mojej żony mieszkającego w Żaganiu dowiedziałem się, zresztą on również, że kajak którym nas poratowano podczas sptywu przekazał nam właśnie on.

Kiedy postanowiłem przejść się zimową porą po Karkonoszach. Zaplanowałem sześciogodzinną wycieczkę. Gdy dotarłem do Drogi nad Regłami okazało się, że po świeżych opadach śniegu nikt tędy jeszcze nie szedł. Mając rakiety śnieżne nie przejmowałem się tym. Jakież było to złudne. Szybko okazało się, że rakiety zamiast pomocne stały się przyczynkiem do niemalże tragedii. Co chwilę wpadałem w jakieś jamy ukryte pod śniegiem i rakietą grzęzła mi pod jakimś korzeniem. Aby wydostać się z takiej pułapki często potrzebowałem kilkudziesięciu minut. Szybko zaczęło się ściemniać. Postanowiłem wracać. Byłem jednak daleko w górach, no i byłem już bardzo osłabiony. Gdy dawałem jeden krok do przodu równocześnie cofałem się o dwa kroki. Żona dzwoniła, że wezwie GOPR. W końcu wytłumaczyłem jej, że za chwilę dotrę do Zawracalni gdzie odpocznę na suchej ławeczce. Nie ryzykowałem siadania na śniegu bo mógłbym się już nie obudzić. Gdy nabrałem sił ruszyłem w stronę Jagniątkowa, jakżeż wtedy po ciemku wszystko wydawało się straszne. W końcu dotarłem do szlabanu gdzie czekał sąsiad, który przyjechał po mnie. Niestety zabrał on z sobą swoich synów, którzy koniecznie chcieli zobaczyć jak wygląda taki „umęczony” turysta.

Po takich wyczynach musiałem obiecać żonie, że już nigdy nie pójdę w góry zimą.



Niestety nie dotrzymałem tego słowa. Tego roku, również zimą wyruszyłem na kolejną wycieczkę. I znowu rakiety śnieżne okazały się dla mnie pułapką. Gdy wpadłem do jakiejś dziury rakietą tak mi ugrzęzła, że nie mogłem się z niej uwolnić.

Przesiedziałem wtedy w śniegu od popołudnia do ranka następnego dnia. Jakież to wtedy wyczyniałem głupoty by nie zamrznąć. Ale miałem także bardzo dużo czasu by przemyśleć całe moje dotychczasowe życie, które jak film przewinęło się w mojej głowie. I właśnie wtedy zdecydowałem się na przeprowadzenie radykalnych zmian w moim dalszym życiu. Muszę przyznać, że tak blisko przejścia na drugą stronę nie byłem jednak jeszcze nigdy. Gdy wreszcie udało mi się uwolnić uwięzioną nogę zszedłem z gór z mocnym postanowieniem zmian. I udało mi się. Jestem teraz zupełnie innym człowiekiem. Inaczej patrzę na życie. Jestem odważniejszy w podejmowaniu decyzji, dzięki czemu mogę o sobie powiedzieć – jestem szczęśliwym człowiekiem. O tym jednak co się mi przydarzyło tak naprawdę wie tylko jedna osoba. I niech tak pozostanie.

Afryka południowa

Jak się okazuje Afryka południowa to kraina ... mlekiem i miodem płynąca. No może nie do końca mlekiem i miodem ale za to złotem i diamentami. Tak złotem i diamentami. Bogactwo tego rejonu widać na każdym kroku. To duże zadbane miasta o ciekawej architekturze. Choć oczywiście i tu są dzielnice do których lepiej nie zaglądać, przynajmniej po zmierzchu.



Widok z Góry Stołowej w Kapsztadzie

Wybierając się do Afryki spodziewałem się zupełnie innego jej obrazu. A tutaj zobaczyłem ciekawą architekturę, duże osiedla domków jednorodzinnych, autostrady o czterech, pięciu pasmach ruchu, ulice miejskie o trzech pasach ruchu.

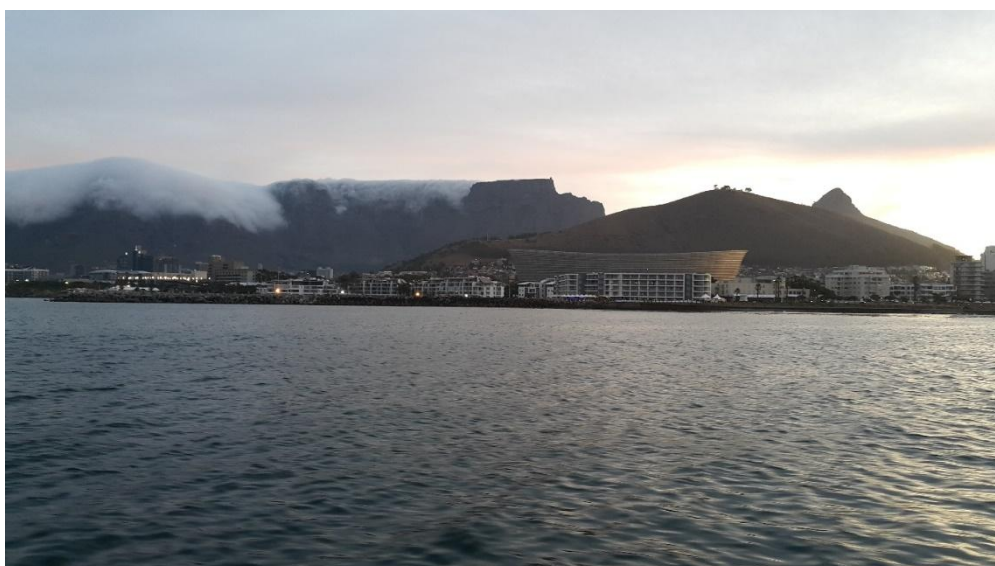
Do tego wszędzie, jak okiem sięgnąć, zieleń rosnących tu lasów i wielkich plantacji. Coś niesamowitego. Żadnych pustyń. Nawet asfalt na drogach bez dziur i wcale nie rozptywa się mimo wysokiej temperatury. Same nowe samochody, jachty i stateczki. Muszę przyznać, że zarówno pierwsze wrażenie jak i dalsze zwiedzanie tego regionu wywołało u mnie pytanie: Gdzie jest ta Afryka? Afryka nieurodzajna, biedna, dzika. Tutaj tego nie widzę. Przejeżdżając ulicami poszczególnych miast widzę jak służby miejskie pielęgnują trawniki, podlewają kwiatki itp. Zupełnie mnie to zaskoczyło.

Zacznijmy jednak od początku. Najpierw tereny te zamieszkiwali rdzenni mieszkańcy Afryki. Ale w połowie wieku XVII niejaki Jan von Riebeeck, na zlecenie Kompani Wschodnioindyjskiej zbudował w dzisiejszym Kapsztadzie bazę przeładunkową. I właściwie od tego momentu zaczyna się współczesna historia tych ziem. Tak właściwie rozpoczyna się rozwój tych ziem. To wtedy zaczęły powstawać plantacje, farmy czy drobne przedsiębiorstwa. To wtedy, tak naprawdę Afryka południowa przeżyła rozkwit. Dotychczasowi czarnoskórzy mieszkańcy tych ziem odeszli w głąb lądu a ich miejsce zajęli biali osadnicy nazwani Burami. To oni, tak naprawdę doprowadzili do rozkwitu tych terenów. To oni zaczęli produkować żywność na potrzeby przybywających tu statków. To oni w końcu zaczęli budować osady i małe miasteczka, drogi a z czasem kolej żelazną. To oni zaczęli organizować przemysł.

Niestety Burowie wzbudzili zazdrość u Brytyjczyków, którzy pomyśleli sobie: Dlaczego to oni mają czerpać zyski? I jak to w życiu bywa Brytyjczycy z czasem opanowali te tereny. Później kiedy odkryto olbrzymie złoża złota i diamentów kraj, jeśli można tak powiedzieć, zaczął rozwijać się w niesamowitym tempie. Miało to także skutki uboczne. Np. dzisiaj w 10-milionowym Johannesburgu nie można wybudować metra gdyż ziemia pod nim wygląda jak ser z dziurami. Poszukiwacze złota tak ją przekopali, że nie ma szans na zbudowanie tego rodzaju komunikacji.

Nie będę tutaj omawiał całej liczącej nieco ponad 100 lat historii tego wyjątkowego państwa, wspomnę jednak, że w zasadzie od początku biali osadnicy traktowali miejscową ludność jako coś gorszego. Gdy już zorganizowano państwo ustanowiono tu apartheid. Ludność o czarnym kolorze skóry przenoszono do specjalnych stref zamieszkania. Jednak w XX wieku dzięki powstaniu ruchu oporu biali osadnicy mieli coraz większe kłopoty z utrzymaniem nałożonego przez siebie porządku prawnego. W końcu musieli ustąpić i po wypuszczeniu z więzienia Nelsona Mandeli ogłosili wolne wybory, które wygrał właśnie on. Mandela został pierwszym w historii Republiki Południowej Afryki czarnoskórym prezydentem. W

sumie dobrze, że się tak stało. Bo Mandela okazał się człowiekiem myślącym, znającym realia, i człowiekiem, który powstrzymał rzesz białych. Tak, czarnoskórzy obywatele najchętniej wyróżnili by wtedy wszystkich białych. To tylko dzięki polityce prowadzonej przez Mandelę nie doszło do tego. I w sumie dobrze się stało, gdyż patrząc na to przez pryzmat dnia dzisiejszego mieszkańcy RPA o czarnym kolorze skóry nie bardzo potrafią zarządzać ani poszczególnymi zakładami ani tym bardziej państwem. Tak naprawdę większość z nich nie rozumie ani rolnictwa, ani przemysłu. Dlatego od czasów objęcia władzy przez czarnych kraj stacza się wciąż w dół. Dzisiaj, mimo bogactw naturalnych, mieszkańcy borykają się z codziennymi włączeniami prądu, nieciekawą gospodarką wodną itp.



Góra Stołowa widoczna z oceanu

Nie będę jednak tu ani narzekał, ani wypominał. Mnie interesuje jedynie aspekt krajoznawczy południowej Afryki. A ten jest niesamowity. Tyle ciekawych obiektów krajoznawczych nie znajdziemy w innych regionach kontynentu. Jeśli chodzi o turystykę to muszę tutaj powiedzieć, że władze w 100% doprowadziły do tego, że powszechna turystyka jest bezpieczna. Nie ma tutaj bowiem wałęsających się samopas dzikich zwierząt. Wszystkie zostały zamknięte na terenach ogrodzonych parków narodowych. Jeśli zdarzy się, że jakieś zwierzę wyjdzie poza ogrodzenie to albo jest szybko odławiane i przewożone do parku albo zostaje odstrzelone.

Dlatego skupię się teraz na przedstawieniu zalet tej ziemi, dla których warto tutaj przyjechać. Pierwszą miejscowością do której dotarliśmy był Kapsztad położony nad dwoma oceanami. Z jednej strony jego brzegi obmywają wody Oceanu Indyjskiego,

z drugiej Atlantyckiego. Jest to o tyle ważne, że w jednym oceanie występują prądy morskie niosące z sobą ciepłą wodę, w drugim zimna. O co chodzi. Chodzi o to, że z jednej strony przyptywają tutaj wieloryby, z drugiej rekiny. Więc gdy wchodzimy do wody by sobie popływać musimy wiedzieć do jakiego oceanu możemy wejść bez obawy.

Kapsztad to miejsce szczególne. To tutaj pierwsi przybysze odkryli, że gdy opłynię się ten ląd można bezpiecznie dotrzeć do Azji. Jednak nie do końca tak było. Koniec kontynentu afrykańskiego to prawdziwa łamigłówka. Żeglarze często, zwłaszcza podczas panującej tu mgły, rozbijali się o skały łudzaco przypominające koniec kontynentu. Zatopionych z tego powodu okrętów przybywało tak, że na dzień dzisiejszy na dnie Zatoki Falszywej spoczywa ich blisko 700!

Tak naprawdę miejscem ominiecie którego pozwalało bezpiecznie żeglować dalej był Przylądek Dobrej Nadziei. I to właśnie to miejsce jest dzisiaj licznie odwiedzane przez turystów. Początkowo jednak jego odkrywca, portugalski żeglarz Bartolomeu Dias, nazwał go Przylądkiem Burz. Obecną nazwę nadał temu miejscu król Portugalii Jan II.



Dzisiaj chcąc powiedzieć, że było się na Przylądku Dobrej Nadziei trzeba odwiedzić dwa miejsca. Do pierwszego można podjechać autobusem, a później albo wjechać na górę wyciągiem albo wejść pieszo. Najlepiej wybrać drugi wariant. Możemy wówczas podziwiać zarówno ciekawe wybrzeże jak i rozległą panoramę z widocznym oceanem. Na górze znajduje się latarnia morska. Dojazd do drugiego

miejsca jest nieco utrudniony, ale dotrzemy tam bez problemu. Dopiero tutaj poczujemy dzikość tego terenu. Tutaj bowiem widzimy jak fale rozbijają się o przybrzeżne skały. Sam pobyt tutaj ze spacerem będzie dla nas czymś niesamowitym. Na pewno bardziej go zapamiętamy niż wizytę przy latarni.

W zasadzie najważniejszą atrakcją, do której kierują pierwsze kroki przybywający do Kapsztadu turyści jest Góra Stołowa wznosząca się nieco ponad kilometr ponad poziom morza. Jest to miejsce niezwykle. Występuje tu wiele ciekawych roślin i zwierząt. Najważniejszym jednak są widoki roztaczające się na położone poniżej miasto. Możemy stąd dostrzec nawet wyspę, na której przez ponad 20 lat więziony był Nelson Mandela. Ciekawostką jest fakt, że przeniesiony w mniej przytulne miejsce mile wspominał czasy uwięzienia na wyspie twierdząc, iż miał tam pełną swobodę ruchu.

Na górę dostaniemy się korzystając z kolei gondolowej, stanowiącej atrakcją samą w sobie. Otóż nowy wagonik został tak zaprojektowany, że gdy rusza to obraca się wokół własnej osi. Każdy zatem turysta ma możliwość zobaczenia zarówno góry jak i miasta z różnych stron.



Kapsztad to miasto wielu kontrastów i ciekawostek. Do tego jest bardzo rozległą aglomeracją. Można tutaj, zwiedzając je, przemierzać ponad sto kilometrów i wciąż znajdować się na terenie Kapsztadu. Są tutaj zakamarki tak niezwykle, że warto do nich zajrzeć omijając te najbardziej znane obiekty. Bardzo ciekawa wydaje się być uliczka kolorowych domów. Każdy z dziesiątek budynków pomalowano na jaskrawe

kolory. Każdy z nich wyróżnia się w otoczeniu, niektóre nawet posiadają malowidła ściennie umieszczone w przejściach i zakamarkach. Warto jednak znaleźć chwilę czasu by skorzystać z kąpieli w oceanie i odpoczynku na piaszczystych plażach. Jest tu wiele miejsc wypoczynkowych stworzonych dla wygody turystów. Ze względu jednak na położenie miasta pomiędzy wybrzeżem a pasmem górskim pewnym utrudnieniem w podróży są strome zbocza, w których wydrążono drogi. Często bowiem obsuwają się tu bloki skalne. By temu zapobiec, ze względu na spore koszty takich prac, wpuszczono tutaj firmy budowlane, które aby pokryć koszty wykonanych prac dostały pozwolenie na pobieranie stosownych opłat od użytkowników drogi.

Warto także skorzystać z bardzo bogatej oferty morskiej. Istnieje tutaj cała flota stateczków wożących turystów na zachód słońca czy np. na skalne wyspy, na których żyją tysiące fok. Jest też park z kolonią liczącą kilka tysięcy pingwinów afrykańskich.

Jeśli chodzi o teren to, ze względu na to, że RPA jest jednym z wiodących producentów wina należy zajrzeć na którąś z plantacji, gdzie znajdują się także zakłady przetwórcze i magazyny oferujące wiele gatunków tego trunku.

Kolejnym ciekawym miastem w RPA jest Johannesburg będący największą aglomeracją w kraju. Liczy ona ponad 10 mln mieszkańców. Obok starych zabytkowych ulic znajdują się tu centra nowoczesnej zabudowy, zarówno mieszkaniowej jak i biurowo-hotelowej. Jak już wspomniałem nie ma tutaj możliwości budowy metra, dlatego zmartwieniem mieszkańców jest słaba sieć komunikacyjna. Ostatnio zbudowano tu pierwszą linię kolei naziemnej łączącą stadion z lotniskiem ale jest to kropla w morzu potrzeb. Na co dzień mieszkańcy nie posiadający samochodu korzystają z dziesiątek tysięcy jeżdżących tu busików. Nie jest to jednak coś co ich zadowala.

Początki Johannesburga wiążą się ze znalezieniem nieco ponad sto lat temu samorodka złota. Nie od razu jednak rozpoczęło się tutaj wydobywanie złota na wielką skalę. Egoli – legendarnego Złotego Miasta. Odkrywca złota, nie zdając sobie sprawy, z wartości swojego odkrycia, odsprzedał działkę za, jak podają źródła 10 funtów. Nie wiemy czy później żałował swojego ruchu ale faktem jest, że dopiero w latach późniejszych okazało się, że to właśnie tutaj znajdują się jedne z największych złóż złota na świecie. Dzisiaj właśnie stąd pochodzi aż 40% światowego wydobycia złota.

Legendarne Złote Miasto to Egola.

Miasto założone w roku 1886 położone jest na wysokości ponad 1700 metrów n. p. m. Po latach eksploatacji złóż złota metodą odkrywkową powstały firmy, które zakładały kopalnie takie jakiejś dzisiaj. Najgłębsze szyby wydobywcze osiągają prawie 4 km głębokości.



Dzisiaj zwiedzając Johannesburg nie sposób pominąć ulicę, przy której znajdują się siedziby najważniejszych i największych na świecie firm pozyskujących złoto i platynę. To właśnie na tej ulicy poustawiano eksponaty związane z wydobywaniem złota. Ale nie tylko. Znajduje się tutaj wspaniała rzeźba przedstawiająca przeskakujące przez wodę stado impali. Jest to dzieło, przy którym niemal każdy chce zrobić sobie zdjęcie. Rzeźba została wykonana na zamówienie Harrego Oppenheimera w roku 1960, który chciał w ten sposób uczcić swojego ojca Ernesta, założyciela Anglo American Corporation, największej obecnie na świecie spółki zajmującej się wydobywaniem platyny.

Na ulicy ustawiono także windę z kopalni platyny i prasę do kruszenia złotej skały. Akurat ten obiekt ma ciekawą przeszłość. Otóż pierwsze tego typu prasy przywieziono tutaj na statkach w 1887 roku. Było ich kilka tysięcy. Nie były zatem żadną rzadkością. Później zastąpiono je nowocześniejszymi, a zatem bardziej wydajnymi urządzeniami. Ten akurat egzemplarz, który podziwiamy na ulicy został, ze względów oszczędnościowych, zatopiony na bagnach. Jednak po kilkunastu

latach wydobyto prasę i ustawiono w obecnym miejscu. Udało się to tylko dlatego, że znaleziono jedyną żyjącą jeszcze osobę biorącą udział w akcji zatapiania obiektu.

Znajduje się tu także pomnik złotego nosorożca znalezionej w grobie starej cywilizacji żyjącej ponad 800 lat temu. Jest to dowód na to, że Afryka w swojej historii była zamieszkała przez ludzi znacznie wybiegających poza znane bariery.

Aby zmienić „klimat” zwiedzanych obiektów wystarczy udać się do dzielnicy Soweto. Jest to miejsce, w którym mieszkało aż dwóch noblistów: Nelson Mandela (pierwszy czarnoskóry prezydent RPA) i arcybiskup Desmond Tutu.

Niemniej ciekawym jest miejscowość o nazwie Durban licząca 4 mln mieszkańców. To właśnie w tej miejscowości powstała w roku 2002 Unia Afrykańska. Historia tego miasta zaczęła się w 1824 roku kiedy przybył tu Francis Farewell. Oczywiście nie przybył on sam, przywiózł z sobą grupę kupców. Na początek założył miejscowość Port Natal. Ze względu na klimat zakładano tu pierwotnie plantacje bawełny. Niestety brakowało siły roboczej. Zulusi nie bardzo chcieli pracować w polu. Dlatego zaczęto sprowadzać Hindusów, którzy poszukiwali miejsca gwarantującego im lepsze życie. Dzisiaj jest to jedno z większych skupisk Hindusów w Afryce.

Obecna nazwa miasta została nadana w roku 1835 kiedy to gubernatorem Kolonii Przylądkowej był Beniamin D Urban. Dzisiaj Durban to przede wszystkim jeden z najpiękniejszych w Afryce portów szczytujący się przeladunkiem ponad 30 mln ton towarów i obsługujący ponad 4500 statków rocznie.

Historyczne centrum miasta to wiele ciekawych budynków użyteczności publicznej, m. in. budynek dworca kolejowego. Najciekawsze jest to, że kiedy go projektowano wykonano dwa podobne projekty. Pierwszy miał powstać w Toronto (ze spadzistym dachem), drugi w Durbanie (z płaskim dachem). Przez bałaganiarstwo zamieniono te projekty i w rezultacie ten z Toronto zbudowano w Durbanie. Obiekt zbudowany w Toronto zawalił się pierwszej zimy pod naporem masy zalegającego na płaskim dachu śniegu. Obiekt w Durbanie przetrwał. Ze względu na segregację rasową panującą w tamtych latach posiadał on osobne perony dla białych, osobne dla czarnych.

Pierwszy ratusz miejski powstał w 1885 roku. Był przygotowany na tysiąc miejsc dla deputowanych. Szybko okazał się za mały. Dlatego sprzedano go w 1900 roku dla poczty. Nowy wybudowano w roku 1910. 23 grudnia 1900 roku na schodach ratusza przemawiał Winston Churchill, który był wówczas korespondentem wojennym.

Nowy obiekt został zbudowany z dużym rozmachem, a do tego uwzględniono w nim zasady bezpieczeństwa w razie wybuchu pożaru. Został on tak zaprojektowany, że ewentualny ogień mógł być unicestwiony w poszczególnych jego sekcjach. Na placu przed ratuszem widać kilka pomników, w tym pomnik królowej Wiktorii, a także miejsce upamiętniające żołnierzy angielskich poległych w I i II wojnie światowej. Najpierw jednak, w czasie kiedy założono miasto, teren ten był wykorzystywany jako miejsce handlowe. To tutaj koncentrowało się życie miasta.

Największa atrakcja Durbanu to jednak „Rodzinny park wodny i oceanarium u Shaka Marine World” będący jednym z największych tego typu obiektów na świecie. Jest to miejsce, w którym można zobaczyć pokazy fok czy delfinów. Najciekawszym jednak są dziesiątki wielkich akwariów zainstalowanych we wraku potężnego statku. Można w nich obejrzeć olbrzymie rekiny, płaszczki, żółwie jak i mniejsze ławice ryb, w tym również wyjątkowe okazy fauny oceanicznej.

Z Durbanem wiąże się kilka ciekawych historyjek. Otóż to tutaj wiele lat życia spędził Mahatma Gandhi, który jako młody prawnik przybył by odbyć tu praktykę. Kiedyś wybierając się w podróż pociągiem jako Hindus kupił bilet I klasy. Nie zdawał sobie sprawy, że to nie Indie i, że tutaj jest obywatelem gorszej kategorii. Nic też dziwnego, że na pierwszej stacji konduktor wysadził go z pociągu. Po tym przykrym doświadczeniu Gandhi zaczął walczyć o prawa dla czarnych. Przez 21 lat swojego tu pobytu udało mu się sporo spraw wyprostować i nieco ulżyć doli tej części mieszkańców.



Tak na koniec podam, że Vasco da Gamma, który przybył tutaj w roku 1497 nadał temu miejscu nazwę Rio de Natal, co w tłumaczeniu z portugalskiego znaczy Boże Narodzenie. Dotarł tu bowiem w dzień przed tym ważnym świętem.

To po co tak naprawdę przyjeżdża się do RPA to dzikie zwierzęta. Każdy chce zobaczyć lwa czy słonia. Dlatego najważniejszym miejscem, które należy odwiedzić podczas pobytu w tym rejonie świata jest Park Krugera.



Park został założony w 1898 roku przez ówczesnego prezydenta Transwalu – Paula Krugera. Początek obecnie chronionego obszaru nie był jednak taki ciekawy. Najpierw myśliwi podnieceni ilością znajdujących się tu zwierzyny zaczęli masowo ją wybijać. Dopiero gdy pojawiła się wizja, że obszar ten zostanie całkowicie pozbawiony zwierzyny zaczęto działać. Początkowo utworzono tu mały rezerwat, później po przyłączeniu doń kolejnych terenów powstał obszar ochrony zbliżony do dzisiejszego parku. Pozwoliło to uratować ten teren od całkowitej utraty zwierzyny.

Park, ze względu na ogromny obszar zwiedza się jadąc odkrytymi samochodami terenowymi. Aby skanalizować ruch turystyczny w konkretne miejsca wybudowano tu wiele dróg o nawierzchni asfaltowej. W kilku miejscach utworzono punkty obsługi turystów. Pozwala to na zorganizowanie krótkiego odpoczynku, co jest niezmiernie ważne ze względu na temperaturę powietrza często przekraczającą 40 stopni Celsjusza. Można tam także nabyć wyroby rękodzielnicze i wszelkiego rodzaju pamiątki.

Najważniejszym jednak jest fakt, że w Parku Krugera istnieje szansa na spotkanie z przedstawicielami tzw. Wielkiej piątki czyli: lwa, lamparta, słonia, bawoła i nosorożca.

Oczywiście poza światem zwierząt jest tutaj wiele miejsc ciekawych i tajemniczych. Jedno z nich to Bourkes Luck Potholes. Są to wyrzeźbione w skałach przez wodę cylindryczne formacje koryta rzeki Blyde. Całość terenu została udostępniona odpowiednio przygotowanymi ścieżkami połączonymi ciekawymi w formie mostami przewieszonymi nad korytem rzeki.

W niewielkiej odległości od tego miejsca znajduje się jeden z najgłębszych kanionów świata Blayde River Canyon. Widoki są tu naprawdę obłędne. Zwłaszcza ten na Three Rondavels czyli położone po drugiej stronie rzeki trzy szczyty wyglądające jak chatki ludu plemienia Xhosa.



Three Rondavels

Kolejnym miejscem, które warto odwiedzić jest Pretoria określana przez niektórych, zgodnie z tekstem piosenki z lat 80-tych XX wieku „Miastem wąsów”. Pretoria została założona w 1855 roku i nazwana przez Marthinusa Pretoriusa na część jego ojca, uczestniczącego w roku 1838 w bitwie nad Krwawą Rzeką, w której Afrykanerzy pokonali Zulusów.

Wypada tutaj wspomnieć o wodzu plemienia Zulu Zulusie Czaka, który jako „dzikus” mając do dyspozycji wojowników uzbrojonych tylko w dzidy zwyciężył Anglików

dysponujących bronią palną oraz armatami. To było, jak na tamte czasy niewyobrażalne. Zulus Czaka gdy został wodzem plemienia liczącego zaledwie 1500 osób rozpoczął tworzenie armii. W krótkim czasie doprowadził do powstania wojska liczącego 40 tysięcy żołnierzy. Osiągnął to dzięki dyscyplinie i drastycznym karą za niesubordynację. Ale nie tylko. Do tej pory Zulusi wyposażeni byli tylko w dzidy. Zatem kiedy rzucili je w kierunku wroga stawali się zupełnie bezbronni. Czaka wprowadził do uzbrojenia krótkie dzidy służące do dalszej walki gdy wojownicy pozbyli się już tych właściwych. Zmieniło to ich bojowość i od tej pory zyskali oni na skuteczności walki. Nie bez znaczenia był fakt codziennego treningu wojowników w postaci biegu na dystansie 50 mil, do tego boso. Potrafili oni przemieszczać się w ciągu doby na niewyobrażalne dla Anglików odległości.

Anglicy zaskoczeni skutecznością walki wojowników uważanych za dzikich zostali rozgromieni. Oczywiście nie trwało to długo. W końcu ich dowódcy wyciągnęli odpowiednie wnioski i zaczęli sobie radzić z przeciwnikiem. Największym jednak, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, gwoździem do trumny dla Czaki była śmierć jego matki. W rozpaczę zarządził on wtedy że „żadne ziarno nie może być posadzone przez rok pod karą śmierci, żadne mleko nie może być zebrane przez rok pod karą śmierci, żaden mężczyzna nie może spać z kobietą przez rok pod karą śmierci”. Nic też dziwnego, że Czaka został w końcu zamordowany przez swoich braci. Pochowano go w nieoznaczonym grobie.



Wodospad Wiktorii z lotu ptaka

Wracając do Pretorii, na głównym placu położonego w centrum miasta, znajduje się pomnik Paula Krugera prezydenta Republiki Przylądkowej. Wokół pobudowano najważniejsze budynki miasta w tym Dom Krugera, budynki Opery i Teatru, Pałac Sprawiedliwości, Ratusz, budynki Unii Afrykańskiej. Najbardziej jednak rozpalającym wyobraźnię jest usytuowany nieco wyżej pomnik Nelsona Mandeli, który przedstawia go jako mężczyznę stojącego witającego z przybywających tu ludzi.

Wywołującym największe emocje miejscem w południowej Afryce jest Wodospad Wiktorii w Zimbabwie. Można go zwiedzać zarówno z poziomu lądu jak i z powietrza. Znajduje się tam lądowisko helikopterów, z usług których można korzystać o każdej porze dnia. Lot trwa tylko kilkanaście minut ale warto skorzystać z niego by zobaczyć z góry jak do głębokiego na 100 metrów i szerokiego prawie na 2 kilometry rowu spływa woda z olbrzymiego zlewiska. Spadająca woda rozbijając się o dno wznosi się w powietrze w postaci chmury pyłu wodnego unoszącego się na kilkaset metrów.

Wybierając się na pieszą przechadzkę warto najpierw podejść pod pomnik odkrywcy wodospadów, Davida Livingstonea. To on stwierdził, że widok na wodospad jest tak piękny, iż muszą w niego wpatrywać się aniołowie w locie. Tubylcy zanim wodospad otrzymał imię królowej angielskiej nazywali to miejsce „Dym, który grzmi”. I wcale w tym określeniu nie żadnej przesady. Z daleka bowiem słychać huk spadającej wody i widać unoszącą się mgłę. Z reguły, co widać na niemal wszystkich zamieszczonych w Internecie zdjęciach, wodospad spowija efektowna tęcza.

Najciekawsze miejsce wodospadu to tzw. Diabelski Basen, Kaskada Diabła, Diabelska Katarakta, itp. W sumie nie ważne jakiej nazwy użyjemy, miejsce to najbardziej zapadnie w naszej wyobraźni, jest ono bowiem miejscem, w którym przetacza się największa ilość wody, i do tego spada ona na niewielkiej stosunkowo szerokości, co wywoła u nas wrażenie, iż oto stoimy w miejscu, w którym ta masa wody nas przytłacza na tyle, że długo nie możemy oderwać od niej oczu.

Wodospad Wiktorii, jest zaliczany do siedmiu cudów świata i wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Leży on na terenie Parku Narodowego Wodospadów Wiktorii.



Diabelska Katarakta na Wodospadzie Wiktorii

Na końcu ścieżki prowadzącej wzdłuż wodospadu znajduje się wybudowany na zlecenie Cecila Rhodesa most na rzece Zambezi, łączący dwa kraje: Zimbabwe i Zambii. Stalowa konstrukcja mostu została wyprodukowana w Anglii i przewieziona do Afryki by po 14 miesiącach ciężkiej pracy zostać oddana do użytku w roku 1905. Ma on 198 metrów długości i 128 metrów wysokości.

Myślę, że wystarczająco przedstawiłem atrakcje znajdujące się w Afryce południowej. Oczywiście nie opisałem wszystkich jakie można tam zwiedzić, gdyż by to uczynić należy pojechać tak kilka razy.

Wydawca:
Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"
Jelenia Góra – luty 2020
Tekst i foto: Krzysztof Tęcza